

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty.

No. 5.

Łesno,
dnia 3. Sierpnia 1839.



Józef Peszka.

Do najcelniejszych współczesnych nam malarzy polskich, należał niezaprzeczenie Józef Peszka. Zebrawszy więc wiadomości dotyczące życia i prac tego męża, dla zachowania od zagłady, pospieszamy z udzieleniem ich w niniejszem piśmie lubownikom pamiętek ojczyściej szkoły malarstwa. Józef Peszka urodził się w Krakowie 19. Lutego 1767 r. z Piotra i Sabiny Peszków, mieszczan krakowskich. Okazując od dzieciństwa talent do rysunków, przez rodziców oddany był ze szkół do Dominika Estreichera, malarza i nauczyciela publicznego

rysunków w Krakowie. Nieuszedł oka Hugona Kołłątaja talent młodego Peszki. Zachęcony przez niego, udał się wcześniej do Warszawy, i tam przez lat kilka pod okiem Franciszka Szmuglewicza pracował, i wkrótce do tak wysokiego stopnia w sztuce malarskiej postąpił, iż już w czasie czteroletniego sejmu, malowaniem portretów wziętość sobie zjednać zdołał. Kiedy Szmuglewicz na profesora malarstwa przy uniwersytecie wileńskim powołany został, nieodstępny jego towarzyszył, Peszka, porzucił Warszawę, i razem z swym nauczycielem do Wilna

się udał. Ztąd robił Peszka wycieczki do Petersburga, Witepska, Mochilewa, Mińska, i bawił w wielu domach zamożnych gubernij litewskich i rossyjskich, bo jego talent i słodki charakter, wszędzie mu przystęp jednały. W roku 1807 za namową brata swego, rektora Missyonarzy w Moskwie, zjechał do tej stolicy, gdzie lat cztery przepędził. W epoce tej Józef Peszka nie samemi tylko trudnił się portretami; zostawił i obrazy historyczne własnej kompozycji. W Petersburgu, dokąd z Szmuglewiczem był wzywany, w pałacu cesarza Pawła znajdując się prace ręki jego. W roku 1809, okazawszy dzieła swego pomysłu, uzyskał od Uniwersytetu wileńskiego stopień magistra sztuk pięknych. Pamiętna wyprawa wojenna w r. 1812, zniwoliła Peszkę do opuszczenia Moskwy, i w roku 1813, po trzydziestu latach nieobecności, powrócił do rodzinnego miasta Krakowa, gdzie mile przyjęty, w roku 1817 przez kommissarzy pełnomocnych do organizowania miasta Krakowa i jego okręgu, przez trzy najjaśniejsze dwory delegowanych, professorem publicznym malarstwa i rysunków przy uniwersytecie Jagiellońskim mianowany został. Na tej posadzie Peszka oddany ciągłej pracy i dla uczniów swych wylany, zostawał aż do dn. 4. Września 1831 r., w którym w 64. roku wieku swego życia na cholerę zakończył. Pozostawił wdowę i jedyną córkę. Śmierć Peszki pogrążyła w nieutulonym żalu uczniów i przyjaciół, bo dla pierwszych był prawdziwym ojcem, drugich szlachetne jego przymioty przyjaźń mu stała jednały. Wszystkie chwile wolne od pracy, poświęcał Peszka własnemu kształceniu się czytaniem historycznych książek, a mianowicie dziejów ojczystych dotyczących. Dla tego nieobce mu były i dawne kroniki polskich pisarzy. To zamiłowanie w rzeczach ojczystych, było źródłem wielu prac jego, które po sobie zostawił. Oprócz bowiem portretów, obrazów familijnych, religijnych i widoków aquarellą z natury w Polsce i Rossyi robionych, zostawił Peszka kilkanaście dużych obrazów, wystawiających zdarzenia polskie, jako to: zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem, przyjęcie królowej Jadwigi przez posłów na granicy węgierskiej, Małgorzata Zębocińska, zdrada Zbigniewa, Władysław Jagiełło i posłowie krzyżacy, Stefan Czarniecki, obleżony w Krakowie i t. p., jak niemniej sześćdziesiąt kilka z dziejów polskich pomysłów, wykończonych tuszem na papierze, i zbiór strojów i uzbrojeń dawnych Słowian i Polaków, zebranych z starożytnych pomników, lub z opisów dawnych pisarzy, przez Peszkę w szkicach rzuconych. Ostatnie dwa zbiory świeżo nabyte zostały przez znanego miłośnika sztuk pięknych, W. Gwalberta Pawlikowskiego. Niektóre obrazy olejne są jeszcze do nabycia w Krakowie. Wizerunek Józefa Peszki zdjęty jest z obrazu familijnego, przez niego samego malowanego. W.K.

Boldy *)

na Sokolowém w Polanicy.

Przedgórze Karpatów stryjskich wybiegają nierzadko w mury ogromnych jednostajnych skał, które najczęściej od gór podnóża wysoko nad ich wierzchołki się wznoszą. Zdobią one osobliwym sposobem wybrzeża Stryju, Oporu i Brieżki, i są jakby wystawy i godła, wywiezione od przyrody, dla uprzedzenia przechodnia, w jakie królestwo wstępuje. Przechodząc przed kilką laty z Sinowódzka do Urycza, ujrzałem za Kruszelnicą rzędy ogromnych zabudowań, którym dla spóźnionej dnia pory dokładnie przypatrzeć się niemogłem. Poznawałem z daleka korynckie słupy z ich nagłówkami, wysokie piętra i krużganki ubielone księżycą promieniami i gęsto łamiącym się cieniem przecięte. Śledziłem w różnych kierunkach ciągnące się ulice; nie miałem tylko było mi dziwem, że ani w oknach światła upatrzeć, ani z ulic wrzawy, ba i najmniejszego gwaru dosłyszeć niemogłem. Wyobraźnia moja przylgnęła mocno ku temu, jakby zaklętemu miastu, do którego w spiesznym moim pochodzie zboczyć, było mi rzeczą niepodobną. Wracając dopiero z Urycza przez Podhorodzie, miałem czas i sposobność przypatrzeć się z bliska i po dniu białym tej okolicy, a w miejsce gmachów i słupów korynckich, ujrzałem pasma skał nagich, ciągnące się z zachodu ku wschodowi, jakby kołowaniem ziemi wyrzucone, rozmaitej postaci i składu, najczęściej wydrążone i kończące się w wysokie ostrosłupy, nad któremi się mnóstwo orłów kołysało. Pojedyncze takowe skały napotykałem po lasach w całej mojej wędrowce ku Beskidowi, najwięcej zaś i najosobliwsze w okolicach Skolego. Położenie ich zwyczajne ku pochyłości gór, wyjaśnia ich początek. Sato pospolicie jądra gór, którym splukiwana z wierzchu ziemia w okropną wielkość rość dozwoliła, a przyrodzona miękkość kamienia oddała burzy i piorunowi rząd ich postaci. Pełno w nich bądź przypadkowych, bądź umyślnych, z niemałą pracą dokonanych wydrążeń, a te ostatnie zasługują na szczególniejszą uwagę. — Lud w różnych stronach nazywa różnie takowe skały. Berdy, bołdy, chełmy, niekiedy uszczołby, są to słyszane dotąd miejscowe ich miana. Najznakomitsze z tych, które oglądałem, tak przez swój skład osobliwszy, jako i znajdujące się w nich wydrążenia są te, których szczegółowemu opisowi tych parę stronnic święcę, zatrzymując w ich opisie właściwą, w ustach okolicznego ludu żyjącą ich nazwę: Boldy.

Na obszernej dolinie, ciągnącej się od Karpatów ku Bolechowu, którą jedna z piękniejszych rzek górskich, Brieżka, przerzyna, leży

*) Bold, znaczy masę skał; podobnie jak boldur oznacza w powiatowszczyźnie skupioną chmur masę.

wieś Polanica. Grunta jej w górzystej stronie północnej, zwane sokołowe, stykają się z gruntami Bubnicka i Truchanowa. Ta część najczystsza jest mnóstwem bołdów, z których wyższe w dniu pogodnym o mil parę z równiny bolechowickiej, lub okolic truchanowskich, ujrzyć można. Zbliżając się ku nim od strony południowej przez wysoką połomicę, borem okrytą, wychodzi się na niewielką polanę. Na raz odsłania się tu przed okiem okrągły góry wierzchołek, w koło wiekowemu bukami obrosły, mieniący się barwami gęstolistej swej szaty, którą wiatr z szelestem w rozmaite fałdy układa, a w ich środku, jakby jedno olbrzymie buczysko, w przedpotopowej przyrodzie wybujałe, liści i konarów pozbawione, i płową mchu szatą okulane, wznosi jeden z najwyższych bołdów spokojnie surowe swoje oblicze. O kilkaset kroków odkrywa się cała ich gromada, tak jak ją załączona rycina, na miejscu przez naszego ziomka rysowana, przedstawia.

Skład ich ogólny ma postać warowni, przeciw zniszczeniom czasu umocnionej, najeżonej gęstemi wieziami i w olbrzymich rozmiarach. Dwie ściany skał, szczelnie się z sobą wiążących, 50. do 60. kroków długich, zamykają kąt prosty; mocny nasyp, czyli wał, od południa i wschodu, równoległe do ścian usypany, w którym ostatki muru widzieć się dają, oraz otaczająca je fosja, tworzy z powyższemi skałami nieforemny czworobok. W równych odstępach, ze ściśłem niemal odliczeniem kroków, wznoszą się na rogu wschodnio-południowym i południowo-zachodnim, pojedyncze, w postaci głowy cukru, na kilkaset stóp wysokie kamienie, tworząc narożniki tej przyrodzonej warowni. Dwa inne téjże postaci, nieco nawet wyższe, zajęły w dalszym trochę odstępie róg północno-zachodni; stoją one obok siebie, a wierzch jednego z nich, wyobraża ogromną twarz człowieka. Ściana skał od zachodu ma następujące wydrążenia, odznaczone dość wyraźnie na przyłączonej tu rycinie. Pierwsze, jest długa izba foremnie wykuta, bez okien. Dwie kamienne przyspy ciągną się w dłużej ścian. Po nadłamaniej ku ich środkowi krawędzi można poznać, że pierwotne nieforemne wydrążenie, poprzedziło wykucie, które dziś oglądamy. Uwagi godna jest dość wysoka niza naderzwiami, jakby do wystawiania posągów zrobiona. Znajdujące się nad nią zakrojenie skały, zdają się świadczyć, o przytykającym niegdy do niej pokryciu, celem zabezpieczenia tych wystaw od słoty. Nieco dalej ku środkowi, na spojeniu dwóch skał, jest wydrążenie, ciągnące się przez całą ich wysokość, u wierzchu otwarte, i zdaje się być od deszczu wypłukane; po lewej stronie widać kamienną przyspę, jak i w poprzedniczym. Następuje izba czworogranna, której trzy ściany w skale wykute, czwarta zaś od wschodu domurowana. Kawał pobielonego muru pozostał jeszcze z téj

ściany. Obok niej jest jeszcze jedna izba, tym sposobem, jak pierwsza wykuta, lecz mniejsza nieco. Nareszcie wchodzi się za pomocą wschodów, umyślnie na to przyrządzonych, do dużej izby na pierwszym piętrze. Uderza w niej osobliwie czworogranna w jej posadzce wykucie, mające postać głębokiej studni, wysoko piaskiem i kamieniami zasypanej. Z téj izby ciągnie się sklepiony wychód na skalę; w sklepieniu jego widać między łupanym kamieniem kawałki cegły. Prócz tych wydrążeń, jest jeszcze w ścianie północnej jaskinia, jakby gwałtownym wpływem wody zdziałana, a w niej na lewo niza ogromna, podmurowana od spodu. Większa część wydrążeń zakopconą jest dymem i mchem obrosła. Ze środka tego zamczyska prowadzą głęboko kowane schody w różnych kierunkach po całej skał powierzchni, aż do najwyższego ich szczytu. Są one mocno wydeptane. Na samym wierzchołku skały, z którego na promień kilkunastu mil w około zajrzeć można, jest otwór wielkości kociołka piaskiem uścielony, kolebka i przytułek nie jednego z tych ptaków królewskich, co swoim tu pobytom nazwę temu miejscu nadały. Taki jest stan obecny tych bołdów. Chcąc z dostrzeżonych dziś znamion wyrzec coś pewniejszego o ich przeszłości, potrzeba uważać kolej, jakiej wszystkie rzeczy podlegają. Częstkowe osuwanie się ziemi, wystawiało je coraz bardziej na ciosy burzy i ludu, gnieżdżącogo się w ich okolicy. Do przyrodzonych lub przypadkowych kłesłości, przybływały ręką ludzką zrzadzone, które ze zmianą potrzeb czasu mnożyły się lub przeinaczały. Wiek za wiekiem dotlaćcał tu swoje piętna, a stan ich dzisiejszy przedstawia nam przewyżkę sił, które się tylu wiekom oparły, i zawiera w krótkości ich dzieje. Trzy są okresy, do których wszystkie tu wyciśnięte znamiona odnieść się dają. Pierwszym jest okres tułaczego, powiększej części pasterskiego życia czerwonych Chrobotów. Odnacza on się zamięłowaniem i czcią przyrody, czyli wielobóstwem. Okres ten przeciąga się aż do ostatnich czasów bałwochwaltwa, i kończy się z jego upadkiem. Można twierdzić z niejaką pewnością, że za czasów tych przyrodochwalców, miejsce tyle odszczególniające się w całej okolicy, było Bugajem, czyli miejscem świętem, do którego w dniach zwyczajnych surowo zabroniony był przystęp wszystkim, prócz kapłanów. Większa część wydrążeń należy do owych kamiennych, że tak rzekę, wieków, z których wykopywane toporki lub naczynia kamienne, tyle nas swoim misterstwem zadziwiają. Są one właściwe wiekom i ludziom, którym kruszec za mało jeszcze był znany. Wtedy to wznosiły się tu posągi Peruna i Łady, i nigdzie uroczystej nieprzemawiał bóg grzmiący, jak w kamiennym tych skał oddźwięku. Same nawet ich wierzchoły, tak zgrabnie twarze udające, mogły, za dołożeniem jakiegobądź ręki, przedsta-



W. H. H. 1836, 18. September in Modyce

rys. z nabyw. 1836.

Bogdy na Sokołowie w Polanicy.

wiać bogów w całej ich wielmożności. Stado krogulców rozweselało gaj święty, a szerokie do koła płyty kurzyły się żertwami ku czci bogów. Ilekroć spojrzałem na leżące niedaleko złąd truchanowskie płyty, zdawało mi się, że to o nich słyszę głos Czestmira:

Dosiądź rumaka, niech wiatronogi
Skokiem jelenia knieje przebieży;
Jest tam w dąbrowie skała u drogi,
Bogów siedziba, ty na jej szczycie
Hojnym obietem uraczysz bogi
Za wybawienie, za życie...

W zebraniu szczególnych nazw osad i miejsc okolicznych, jakimi są: Pobóg, Caryny, Sokołowo i t. p., można znaleźć dowód powyższego twierdzenia. Wyparte wreszcie i przesładowane wielobóstwo, mogło się w miejscu tak mało dostępnym do najpóźniejszych przechowywać czasów. W drugim okresie napady i pustoszenia Tatarów zrobiły to miejsce dla okolicznego ludu warownią, i do tego to okresu odniósłbym okopy, mury i fosse, o których wyżej namieniłem. Ku śledzeniu poruszeń nieprzyjacielskich, bardzo były nagodne wiodące pod wierzchołek schody, i w ówczasto znaczny one otrzymały przyrost. Wreszcie, z ustaniem napadów tatarskich i wzrastającą bezsilnością rządu, służyło to miejsce za przytułek nie jednej zgrai łotrów, która prócz zakopconej tu i ówdzie kryjówki, i powszechnego w umyśle ludu postrachu, żadnej po sobie nie zostawiła pamiątki. A to jest okres ostatni. Kilka wierszy, w żyjącej kronice ludu zajrzanych, da się wygodnie odnieść w te trzy różne okresy. Najdawniejsza

zapewne jest wieść między ludem truchanowskim słyszana. „Było dawnych ludzi zamiarem (tak opiewa powyższa kronika), wykopać sobie całe miasto ze skał. Zabrano się żwawo do pracy, wstawały coraz nowe z łona ziemi kamienie, mnożyły się jaskinie, wrychle by przeprowadzone było wszystko do skutku, ale waśń dwóch naczelnych braci, zniweczyła uskutecznienie zamiaru i skończyła się bratobójstwem. Cała ta historia (dodaje opowiadacz) wypisana jest na tych skałach; mają się nawet tam znajdować wykute szczątki ich obrazów. *) Późniejsze jest to, co mi wieśniak jeden w Bubniku powiadał, że pan jakowś mieszkał w tych pokojach; nie bał on się nikogo, bo żadnymi wojskami nie można było nie zdzielać przeciw niemu. Zdaje się to wskazywać na jakiego starostę lub horodniczego, broniącego się przeciw Tatarom, lub innym wrogom dawnej rzeczypospolitej. A może był nim który z Konfederatów barskich, o nich bowiem powiadano nie wiele w okolicach Skolego, a na Beskidzie, niedaleko wioski Zupanie, pokazywano mi grób jednego z nich, poległego przypadkowo od swoich na placówce. — W końcu rozpowiada lud o Doboszu, jak tenże napadł był na miasteczko Bolechów w sam jarmark, i z łupami powrócił w swoje podówczas siedlisko: polanickie jaskinie.

*) Co do napisów starożytnych, na takowe fak tu, jak i w kilkunastu innych skałach, które wraz z towarzyszami kilkakrotnie opatrywałem, nie natrafiłem. Śmiem nawet twierdzić, że ich tu nigdy nie było i niema. Kilka kirylickich i hebrajskich wyrazów na płycie truchanowskiej, są, po lepszym w nich rozpatrzeniu się, zwiedzających je gości nazwiska.

Nim zamknę te słów kilka o Bołdach, rzucmy raz jeszcze okiem na ich okolicę i przebieżmy myślą ich dzieje. — Dzieci niepodległej i bujnej przyrody, składały niegdy wraz z ziemią jedno ciało. W następnych przemianach czasu były miejscem czci bogów, obroną i przytulkiem prześladowanej cnoty, lub garści łotrów kryjówką. Odlączone od ziemi rodzinnej, nagie i piorunami krajane, przedstawiają dziś, pośród kwitnącej do koła przyrody, dziwne przeciwieństwo. Wyżółkła mchu garstka, gałązka sosny lub bluszczu, wciskając się pomiędzy rozpadliny skał, jak nadzieja w serce zrozpaczone, siłą się nadać im barwę życia, niepamięć, że je przed czasem północny wicher obędzie. *A. B.*

Wystawa obrazów w Poznaniu.

Poznań, który z każdym dniem wzrasta, tyłu pięknymi gmachami corok się przyozdabia, i życia i ruchu naukowego nabierać zaczyna, nie jest także obojętnym na sztuki piękne. Zawiazane tu przed kilku laty towarzystwo sztuk pięknych, wystawia co dwa lata na widok publiczny, w obszernej sali hotelu drezdeńskiego, celniejsze obrazy mistrzów wszelkich szkół nowszych, a publiczność licznem odwiedzaniem wystawy dowodzi, że ją sztuki piękne przyjemnie zajmują. Nie zamierzamy zdawać czytelnikom Przyjaciela Ludu obszerną sprawę z tegorocznej wystawy; dotknijmy tylko z lekka niektórych lepszych obrazów, zostawiając ocenienie reszty biegłszemu w tem od naszego pióra.

W pierwszym przedziale sali zajął nasamprzód uwagę naszą obraz, przedstawiający zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce przez Mieczysława I., pędzla P. Suchodolskiego, artysty, dziś w Warszawie mieszkającego. Obraz ten przeznaczony jest do kaplicy Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w kościele katedralnym w Poznaniu. Artysta pochwycił zręcznie najważniejszy moment w wielkim dramacie nawracania ludu pogańskiego na wiarę chrześcijańską, to jest publiczne niweczenie pogańskich bożków. Mieczysław I., w towarzystwie swej małżonki, Dąbrowki, otoczony licznym dworem, siedząc na dzielnym koniu, przypatruje się z uroczystą powagą temu obrzędowi, mającemu w Lechii w moralnym i politycznym względzie zmienić zupełnie dawną postać rzeczy. Z lewej i prawej strony orszaku królewskiego widać grupy ludu pospolitego. Kilku barczystych i ogorzałych Lechitów kruszy po lewej stronie siekierami posągi bogów. Znawcy chwalą szczególnie wyraz twarzy, jaki artysta nadać umiał tym ostatnim. Czytać na nich można dreszcz przechodzący ich członki na myśl samę, że się na świętość, niedawno powszechnie czczoną, zuchwale targają; obawa, aby lżone bogi ojczyste srożej zemsty nie wywarły, ścina krew w ich żyłach; słowem, artysta

pojął tu i oddał dokładnie w obrazie walkę wewnętrznego przekonania i opinii, od dzieciństwa wpojonych, z nowemi o rzeczach wyobrażeniami i korzyściami, które ostatnie z sobą niosły. — Niemniej podobają się znawcom konie i inne szczegóły w obrazie wspomnianym; za to przyganiają zbyt słaby koloryt, zwłaszcza obłoków. Wszakże piękny obraz ten, nieprzeznaczony bynajmniej na wystawę, większy nierównie na widzach efekt sprawi w swoim właściwem miejscu, to jest w kaplicy królów polskich, gdzie jako część wielkiej całości, podwyższy harmonijnie jej piękność, odbierając sam od niej nie mało blasku.

Obraz, wystawiający *pieśń wieczorna śpiewaka*, pędzla P. Huxoll z Frankfurtu nad Menem, tak jest piękny i liryczny, że widz patrząc nań, uczuwa całą rzewność poezji Uhlanda. Życie niespokojne rycerza, jego walki i cierpienia, jego miłość i żal, odbijają się wyraźnie w twarzy śpiewaka, nucącego balladę. Inne szczegóły tego obrazu, jakoto dwa dziewczęta i brytan, niemniej są dobrze oddane, ale w twarzy rycerza niedostrzegają znawcy właściwego, odpowiadającego przedmiotowi i sytuacji, wyrazu, a zbyt bystry, acz z natury wernie oddany, blask słońca, grupy oświecający, niweczy wszelki efekt tego, z kądną pięknego dzieła.

Pismo święte, jak zwykle, dostarczyło i tą razą artystom wiele materii. Dwóch, to jest P. Wagner z Berlina i Besser z Warszawy, wzięli wątek do swoich obrazów z historii króla Dawida. Obraz P. Wagnera wyobraża: *Ocalenie Saula w jaskini*. Pan Besser skreślił: *Zwycięstwo Dawida nad Goliatem*. W pierwszym obrazie chwałą znawcy dokładność w wykonaniu niektórych części, ale zarzucają artyście brak poetyczności, a tem samem zajęcia. W obrazie P. Bessera, twarz i postawa Dawida są bardzo pospolite, niemają życia, ani wyrazu, odpowiadającego wzruszeniom, które Dawida na widok olbrzyma przejąć musiały.

Obraz: *Żal Jakóba za synem Józefem*, pędzla P. Bender z Królewca, ma wiele zalet. Uderzają w nim szczególnie pojedyncze figury, lubo całość nie czyni pożądanego efektu. Odbija tu dobrze niewinność małego Benjamina od zmyślonego żalu starszego brata jego, gdy Jakóbowi o losie Józefa donoszą. Głowa patriarchy mniej za to udała się artyście; w twarzy jego nieczytamy owęj boleści, która serca ojcowskie po utracie ukochanego syna przenikać powinna.

Wypchnięcie z domu Agary, przez Dietrycha z Drezna, jest bardzo miernym obrazem. Grupowanie figur jest w nim takie same, jak w wielu innych, przedmiot ten wystawiających. Agara trzymając za rękę swego syna, opuszcza dom. Abraham idzie za nią i daje jej na drogę rady i pociechę. Figury nie są w tym obrazie pod względem historycznym dobrze oddane; twarz Abrahama nie ma właściwego sytuacji obrazu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bitwa pod Kirchholmem.

Dawszy, ile możność pozwoliła, wyobrażenie o wojenności staropolskiej, w numerach 28. 29. 30. 31. 33. 34. 35. 37. Przyjaciela Ludu z r. 1839; dla dopełnienia obrazu, następnie rozwinie my teraz w szczegółach strategicznych *bitwę pod Kirchholmem*; dla tego zaś tę a nie inną obra- liśmy, że już to policzyć ją należy do najśła- wniejszych bojów polskich, już też, ponieważ ze wszystkich najlepiej wyświeconą została, i przez staropolskich latopisarzy, tudzież przez J. S. Bandtkiego a), Adama Naruszewicza b), J. U. Niemcewicza c), wreszcie przez Henryka Kra- sińskiego d).

Za czasów Zygmunta III., potężnej Polski granice rozciągały się szeroko na wszystkie strony, albowiem od zatoki fińskiej i brzegów Bal- tyku, aż do Karpat i morza czarnego, i znowu od Odry po Dniepr i Dźwinę dosięgało państwo to rozległe od 48° do 58° szerokości, w szerz na 200, wzdłuż na 240 mil niemieckich; zło- żone z 18 millionów mieszkańców, spójnością ko- lebki, obyczajami, mową jednorodnych. Dochód publiczny wówczas był znakomity, urządzenia wojenne zastosowane do przyjętych zasad; wię- ciej jednakże siła na chęci odznaczenia się i waleczności możliwych, aniżeli na dobrze zapro- wadzonym porządku spoczywała; przemysł i bogactwo w całym kraju ożywione; lecz władza wykonawcza już nazbyt określona, straciła ró- wnowagę do innych ogniw ruchu publicznego, i nie wiele sprężystości w działaniu rozwinać mogła, musiał przeto w rzeczy publicznej za- kradac się nieład.

Szwecya była wprawdzie nately nie wiel- kiem państwem, do 4 millionów ludności liczą- cém, ale władza samowładnie w ręku jednego skupiona, silny wpływ na zewnątrz wywierać mogła o tyle, o ileby zapal ożywił władzę; a właśnie też Karól Sudermanii z dumy i popę- dliwości zasłynął, odpowiednio utorowawszy drogę do sławy synowi Gustawowi Adolfowi. Ze wszy- stkich narodów, z którymi Polakom przez tyle wieków przyszło wchodzić w zapasy, Szwedzi najstraszniejszymi byli; więcej od innych mężni, zręczni, cierpliwi na głód, zimno i wszelkie bo- jowe niewygody, dotrzymywali w polu z orę- żem w ręku; ożywiła ich na wskrós umiar-

kowana wolność; zahartowani na łowach i rozlicznych trudach od młodości, gardzili nie- bezpieczeństwem; prowadzeni przez wyborych generałów i officerów wszelkiej broni, kiedy mianowicie stanął na ich czele władca w kwie- cie młodości, cały pożerany żądzą sławy, nie dziw, że zasłynęli walecznością od ości do ości; mogli wniknąć w szranki z Polakami i żadna wojna w Polsce nie była zaciętszą, jak kiedy bojowano z synami półwyspu Skandynawii.

Polacy, choć ożywieni wojennem mężstwem, dalecy byli jednak od żądzy podbojów, jedy- nie najświętsze umowy, albo własna i wyraźna wola sąsiednich ludów, łączyła je najsilniejszym, bo bratnim z Polakami węzłem; tak też w r. 1561 Wilhelm Fürstenberg, wielki mistrz kawalerów mieczowych, naraz uciśniony od Szwedów, Mo- skali i Duńczyków, oceniając swobody polskie, oddał się Zygmunutowi Augustowi, zgodnie z ży- czeniami ludu swojego, poddając Polsce całe bogate i przemysłem ożywione Inflanty — oto zaród niezgody Szwedów z Polakami. I dla tego przeczorne Stany polskie, skoro męzny Ste- fan Batory życia dokonał, za staraniem miano- wicie Anny wdowy, i Jana Zamojskiego K. i H. W. K., obrały królem polskim Zygmunta, kró- lewiczka szwedzkiego, już to, że z krwi Jagiel- lońskiej, tyle drogiej Polakom, pochodził, już też, ażeby stał się najsilniejszym ogniwem zgody i zjednoczenia dwóch narodów, ale los zawistny inaczej rozrządził.

Więcej bojaźń, by berło polskie nie dostało się w ręce moskiewskiego władcy, niż chęć otrzymania go dla syna, skłoniła Jana szwedz- kiego, że się o nie przez posły swoje ubiegał; a tak od początku zabiegów wkradła się zaraz nieufność i dwuznaczność między strony; Szwed- dom szło o Estonię, Polakom, że nieznaleźli w Zygmuncie spodziewanych przymiotów.

Przy końcu r. 1592 odebrał Zygmunt wia- domość o śmierci ojca swojego, która go ciężkim przejęła smutkiem z uwagi na stan rzeczy, nie- pewny w obudwóch królestwach. W Szwecyi albowiem stryj, Karól książę Sudermanii, umy- słu wyniosłego i do przedsięwzięć śmiałego, o berło niespokojności wzniecał, w Polsce rozej- ścię się sejmu bez ukojenia podejrzeń, rozją- trzenia, zawziętości prawie powszechnie obudzone, nie pomyślnego nie wróżyły; — jakoż nie chciano zezwolić na wyjazd króla wśród takich okolicz- ności i na sejmie warszawskim w maju 1593, kanclerz, prymas i wielu znakomitszych sena- torów radzili Zygmunutowi, aby i koronę i sprawy królestwa szwedzkiego tylko przez Posłów objął, aż dopiero po przeczytaniu listów, pisa- nych ze Sztokholmu, w których konieczność by- tności Zygmunta w Szwecyi jasno dowiedziona była, po przyrzeczeniu powrotu w przeciągu roku jednego, stany na wyjazd zezwoliły. Zygmunt więc dnia 3. Sierpnia wsiadł na nawy, w tym celu na Wiśle przygotowane i koło Płocka,

a) Dzieje królestwa polskiego przez J. S. Bandt- kie, Dr. fil. Pr. i Bibl. w U. J. Tomów dwa, w Wroc- ławiu r. 1820.

b) Historia Jana Karóla Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana w. l., przez A. Naruszewicza; w Warszawie, ed. T. Mostowskiego, r. 1805. T. I. od str. 44.

c) Dzieje panowania Zygmunta III. przez J. U. Niemcewicza; w Wrocławiu r. 1836. T. I. od str. 332.

d) Bataille de Kirchholm, roman historique par Henri Comte Krasinski. Paris 1836. Rozdział 32gi, t. II. od str. 211.

Torunia przyplynał do Gdańska, z kąd puściwszy się w 60. okrętów, stanął dn. 10. Października w Sztokholmie. Już blisko jedenaste miesiące upływało od śmierci Jana szwedzkiego, Karól książę Sudermanii, jeszcze za życia jego nieumiejący ukrywać żądy panowania, niespokojny, zuchwały, popędliwy z natury, wiedzący jednak jak się hamować, surowy lub uprzejmy ze szlachtą, lecz z ludem poufały zawsze, Karól, mówię, nie zaniedbał użyć długiej nieprzytomności króla, torując sobie drogę do wysokich zamysłów. Zaraz po śmierci Jana, objawszy tymczasowo rządy państwa, wysłał do Zygmunta z doniesieniem o zgonie ojca, tudzież z odezwą raczej, niż z prośbą, o potwierdzenie swobód narodowych, z oświadczeniem wreszcie, że do przyjazdu jego czuwać nad losami państwa i pokój z Moskwą starać się będzie zachować, a w jednymże czasie przykazał rządcom Estonii, żeby nie ustąpili tej ziemi, chociażby król, przynaglony od Polaków, na to zezwalał. Nim jeszcze te listy doszły do Polski, książę Sudermanii zgromadził senat, i uchwalono, że ponieważ król lewicz Jan (syn zmarłego króla z powtórnego łoża) był małoletnim, Karól w niebytności Zygmunta, za głowę rodu królewskiego i rządcę państwa uważanym być ma. Tak rzuciwszy nowego rządu zasady, rozsiałwszy wieść po kraju, że Zygmunt za powrotem swoim do Szwecyi, religią katolicką i Jezuitów zechce znowu przywrócić; naradzał się ze Stanami, jakby religią protestantską utwierdzić i wszelki wstęp do kraju Katolikom na zawsze zamknąć; w tym celu naznaczono synod w Upsalu, gdzie nawet inny arcybiskup został obranym; zatem Zygmunt, uwiadomiony wkrótce od przychylnych sobie senatorów o zaszłych w Sztokholmie uchwałach senatu i stanów, widząc, na co się zanosi, zaraz wysłał wiernych sobie Szwedów do objęcia ważniejszych zamków w Estonii i Szwecyi; równie polecił Janowi Sparr, aby przysięgę od tyle dzielnych Finlandczyków odebrał i tamże wszystkie twierdze zabezpieczył; — oto pierwsze iskry niezgody i zawiści między Zygmuntem a Karólem.

Z tém wszystkiem przyjazd króla rodaka, otoczonego małżonką, siostrą i wspaniałym dworem, niemógł być Szwedom niemiłym; łatwo więc rozsądkiem i trafnością w postępowaniu mógł być ująć serca poddanych i panowanie utwierdzić; lecz przeciwnie Zygmunt, jako w Polsce Szwedom, tak w Szwecyi samym tylko Polakom ufność swoją dawał; najpoufalszym zaś powiernikiem jego był Malespina, nuncyusz papieski, mniej w żarliwości swojej ostrożny, niżby w różnowierczym narodzie przystało; zapalczywe zatem o przesady religijne powstawały rozruchy, a Karól z radością uważając wzrastające rozjątrzenia, ukryty, zręczny, na pozór ulegający, tajemnie działający najczynniej, z udaną pokorą

oddalił się wprowadzić ode dworu i spraw publicznych, lecz pobudził stany do uczynienia Zygmunтови licznych przedstawień, które gdy on pozostawił bez odpowiedzi stanowczej, nakoniec senat w trzy miesiące potem widział się zmuszonym zniewolić Zygmunta, iżby na koronację do Upsalu zjechał; — już teraz gotował mu zdradę Karól, przecież czujnością podkanclerzego Tarnowskiego i Łaskiego, wojewody sieradzkiego, zdrajca wpadł w zastawione przez siebie sieci i jedynie łagodności króla winien ocalenie życia; wreszcie skoro dopiero Zygmunt przyrzekł na piśmie stanom swobody wymagane, odbył się obrzęd koronacyjny dnia 19. Lutego 1594 r. W czasie dalszego pobytu w Szwecyi i następnie ciągnące się zatargi, zniewoliły króla, iż przywołał niejaki oddział z Polski, co jeszcze więcej zniechęciło ku niemu obywateli. — Wkrótce zaszły wypadki w Polsce, odwołały Zygmunta ze Szwecyi; odjechał więc, nieprzepisawszy kształtu rządu, zostawiwszy w zawieszeniu wiele spraw ważnych, a nierozważnie, chcąc sobie niby ująć Karóla, acz nieprzytomnemu zdał rządy nad państwem, z dodaniem rady senatu; a tak Zygmunt w Szwecyi opuścił wszystko w zamieszaniu i niepewności, nie dość zręczny i uprzejmy, by umysł pozyskać; nie dość odważny i stały, by je przymusić, ani serc pociągnąć, ani władzy utwierdzić nie umiał; największem atoli było dla niego nieszczęściem, że miał do czynienia z Karólem, księciem Sudermanii; z człowiekiem, który właśnie te wszystkie przymioty posiadał, na których mu zbywało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterode, w Prusach wschodnich, śpiewa.

W Prusach wschodnich, zwanych dawniej książęcemi, na znacznej bardzo przestrzeni, mianowicie zaś w tych okolicach, które się z Mazowszem stykają, przechował się dotąd język polski pomiędzy ludem wiejskim w całej swojej czystości. Mówią tu nawet i piszą nim tu i ówdzie wyższe stany, a duchowni nie mogą z ambony do ludu innym przemawiać językiem, gdyżby nie byli rozumiani. Jeden z tych duchownych, zacny i uczony X. Gizewiusz, pochodzący zapewne z polskiej rodziny Gizewskich, i pełniący obowiązki przy kościele ewangelickim polskim w Osterodzie, zebrał pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterody śpiewa, i dołączył do nich melodye. Umieszczamy tu kilka z tych pieśni; czytelnikom bowiem Przyjaciela Ludu miło będzie zapewne poznać duch i charakter ludu polskiego w Prusach wschodnich, przebijający się w tych pieśniach.

Zalётki moje
Na cóż mi wyszły?
Opuścił mnie
Mój najmiłszy,
A do in-szój myśli.

Choćci mnie opuścił,
Ale we enocie,
Nie zostawił mnie
Mój najmiłszy
W żadnej sromocie.

W żadnej sromocie.

Ani we złości,

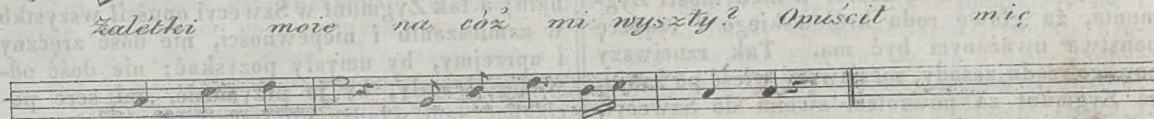
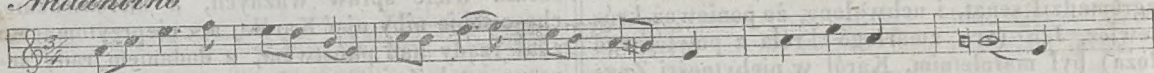
a) Jenó w złém ludzkiem

Obgadaniu

A w swój niestałości.

a) Alias: Rozstałim się
Z mym najmiłszym
Jeszcze w miłości.

Andantino



Stoi jawór zielony,
Złotem pokrapiany;
O! jużci mnie, już odjeżdża
Najmiłszy kochany.

Oj choćci on odjedzie,
To znowu przyjedzie;
Moje serce zasmucone,
Pocieszone będzie.

Przysniło się Kasiuchnie
Na łózk leżąc:
Oto Jasieczek utonął
Przez Wisłę jadący.

Oj utonął, utonął,
I chusteczkę zgubił.
Oj wszystko to dla dziewczyny,
Com ją szczerze lubił.

I skoczyła Kasiuchna
Do bystrzej wodeczki;
Pytała się, pytała się
Tój drobnój rybeczki:

Przychodził do mnie
I namawiał mnie:

„A ty moja
Najmilejsza
Spuszczaj się na mnie.”

Jam się spuszczała,
Bo on mnie kochał;
Tegom w życiu
Nie myślała,
Coby mnie poniechał.

Ale nie niedbam, b)

Bo inszego mam;

Jeno mi tego

I serca żal,

Co mi przymawiał. c)

b) Ja o cię nie dbam,

c) Coś mi przymawiał.

„O rybeczki, rybeczki,

„Dla Boga żywego,

„Nie widziałyżęś tutaj

„Jasieczka mego?”

„Oj widziałym, widziałym,

„Ale nie żywego;

„Oстрыm mieczem przebodzone

„Boki, serce jego...”

I skoczyła Kasiuchna

Z mostu wysokiego,

I wydarła ostry mieczyk

Z boku Jasiowego.

I wydarła, wydarła,

Sama się przebiła,

A to małe dziecięczo

Na wodę puciła.

„A kiedy już umrzęwa,

„Umrzyjważ oboje;

„Niechże nas też pochowają

„W jeden grób oboje!”

Andantino

